Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.

R. VI 1 KWIECIEŃ 1929 Nr. 7

WIADOMOŚCI KATOLICKIE

DWUTYGODNIK POŚWIĘCONY IDEOM I SPRAWOM KATOLICKIM

TREŚĆ:

ZMARTWYCHWSTANIE.
STULECIE SWOBÓD RELIGIJNYCH W ANGLJI.
Z PSYCHOLOGJI ŻYCIA CHRZEŚCIJAŃSKIEGO: APOSTOŁ TUAREGÓW.
STANOWISKO KATOLIKÓW W HOLANDJI.
WOJNA DOMOWA W MEKSYKU.
JAK POWSTAŁ UNIWERSYTET KATOLICKI W JAPONJI.
KS. SONNENSCHEIN, APOSTOŁ BERLINA.
UNIWERSYTETY KATOLICKIE A POWRÓT DO JEDNOŚCI WE WIERZE.

ZE ŚWIATA I ŻYCIA: Beatyfikacja Don Bosco.

WIARA I NAUKA: EWOLUCJA SPOŁECZNA A EWOLUCJA RELIGIJNA.

KRAKÓW

DRUKARNIA „WIADOMOŚCI KATOLICKICH"

ZMARTWYCHWSTANIE.

Wielkanoc to święto wiary. Bo *jeśliż Chrystus nie powstał z martwych... próżna jest i wiara wasza.* Zmartwychwstanie uzupełnia tajemnicę naszego zbawienia i odkupienia; przez śmierć Swoją uwalnia nas Chrystus od grzechu, a przez Swoje zmartwychwstanie powraca nam przywileje, które przez grzech utraciliśmy, mówi św. Paweł w liście do Rzymian IV, 25.

A jeśli o Chrystusie powiadają że zmartwychwstał, jakoż mówią niektórzy między wami, że zmartwychwstania niemasz, pyta dalej św. Paweł, łącząc ściśle te dwie prawdy ze sobą. Zmartwychwstanie ciał jest dogmatem. Wierzono w nie już w Starym Zakonie, naucza o niem potem Pan Jezus, wbrew Saduceuszom, którym zarzucał, że *błądzą, nie rozumiejąc Pism ani mocy Bożej* (*Mat.* XXII, 29). Św. Paweł każe z równą pewnością wierzyć w zmartwychwstanie powszechne, jak w zmartwychwstanie Chrystusa. O zmartwychwstaniu powszechnem mówi jako o jednej z podstawowych nauk chrześcijaństwa przed areopagiem w Atenach, w Jerozolimie, przed Agrypą i przed Feliksem. Toteż i wczesna tradycja zgadza się tu najzupełniej z nauką tak Starego, jak Nowego Testamentu.

Zmartwychwstanie, podobnie jak stworzenie, zalicza się do najgłówniejszych dzieł bożych. Stąd, (por. *The Cath. Encycl.*), jak wszystkie rzeczy wyszły z rąk bożych doskonałe, tak przy zmartwychwstaniu muszą tą samą wszechmocną ręką być doskonale przywrócone. Między ciałem ziemskiem a tem ciałem zmartwychwstałem będzie jednak różnica; gdyż wszystkie ciała zmartwychwstałe, zarówno świętych jak grzeszników, będą nieśmiertelne. To podziwu godne odnowienie natury jest skutkiem pełnego chwały triumfu Chrystusa nad śmiercią. Ale podczas gdy

sprawiedliwi będą się cieszyć niekończącem się szczęściem, to źli, jak mówi Apokalipsa *będą szukać śmierci, a nie znajdą jej i będą chcieli umrzeć, a uciecze śmierć od nich.*

Ciała dobrych i złych będą miały, jak tamże dalej czytamy, te trzy cechy charakterystyczne, mianowicie tożsamość, zupełność i nieśmiertelność. Ale ciała dobrych będą się odznaczać czterema szczególnemi przymiotami. Pierwszym jest niecierpiętliwość, która ciało uwolni od wszelkich cierpień i niewygód. *Bywa wsiane w skazitelności, a powstanie w nieskazitelności,* mówi św. Paweł (I *Kor.* XV, 42). Przymiot ten nazywa się niecierpiętliwością, nie zaś niezniszczalnością, by określić szczególną własność ciała w chwale, gdyż ciała potępionych będą niezniszczalne, ale nie będą niecierpiętliwe, będą odczuwać gorąco i zimno, i wszelkie cierpienie. Drugim przymiotem będzie jasność, lub chwała, mocą której ciała świętych będą jaśnieć jak słońce. *Bywa wsiane w sprośności* mówi Apostoł, *a powstanie w chwalebności* (I *Kor.* XV, 43). Ciała wszystkich świętych będą jednakowo niecierpiętliwe, ale będą miały różne stopnie chwały. Według św. Pawła: *Inna jasność słońca, inna jasność księżyca a inna jasność gwiazd. Albowiem gwiazda od gwiazdy różna jest w jasności.* Trzecim przymiotem jest ruchliwość, na mocy której ciało zostanie uwolnione od trudności ruchu, a otrzyma moc poruszania się z największą łatwością i szybkością, dokądkolwiek się duszy spodoba. Apostoł mówi, że ciało *bywa wsiane w słabości, a powstanie w potężności.* Czwartym przymiotem jest tego rodzaju subtelność, że ciało poddane jest absolutnie pod władzą duszy. Ciało uczestniczy w doskonalszem i bardziej duchowem życiu duszy do tego stopnia, że samo staje się jakby duchem. Przykładem tego przymiotu jest, że Chrystus po zmartwychwstaniu przechodził przez przedmioty materjalne.

Tak więc zmartwychwstanie Chrystusa, mówi św. Tomasz, jest przyczyną sprawczą i wzorem naszego zmartwychwstania, a to, co do ciała, i co do duszy przez łaskę; a dzieje się to mocą przyczyny głównej, mianowicie sprawiedliwości bożej.

STULECIE SWOBÓD RELIGIJNYCH W ANGLJI.

Dnia 13 kwietnia b. r. przypada stuletnia rocznica nadania katolikom w Anglji prawa przyznającego im wolność religijną. Z tej okazji biskupi angielscy wezwali swoich wiernych do złożenia dziękczynienia Bogu za otrzymane dobrodziejstwo i za postępy jakie uczynił Kościół w ciągu tych stu lat, oraz do przypomnienia sobie odpowiedzialności za użytek, jaki zrobili z tej wolności w obliczu przyszłych pokoleń.

„Emancypacja polityczna katolików — mówi ów wspólny list pasterski — oznacza również początek wolności duchowej dla wielu protestantów, którzy teraz przyzwyczaili się widzieć rzeczy takiemi, jakiemi są one rzeczywiście, a nie jak sobie je wyobrażali. Kościół katolicki zyskał w ich oczach na godności i znaczeniu, a pojęcia protestanckie o przeszłości nie zaciemniają i nie wprowadzają już w błąd ich umysłów.

Nasze dziękczynienia dla Boga byłyby niezupełne, i pozostałyby bezowocnemi, gdyby nie były połączone z żywem poczuciem odpowiedzialności za pozyskaną wolność i okoliczności nasuwające się, by ją odpowiednio zużytkować. Nie trzeba zapominać o wyjątkowem stanowisku, jakie zajmujemy w życiu narodu. Jesteśmy legalnymi dziedzicami tych, którzy zachowali w naszym kraju jedność i ciągłość wiary katolickiej. Jesteśmy zjednoczeni obcowaniem we wierze i w kulcie z trzystu miljonami katolików, którzy w całym świecie uważają nas za braci duchowych. Nasz Kościół wolny nie jest sektą; jest to ten sam Kościół, który był Kościołem Bretonów, Saksonów, Normandów, i który stał się w nowem i jasnem znaczeniu Kościołem Anglji, czyli Kościołem narodu angielskiego. Jest on tym samym Kościołem, co Kościół naszych męczenników angielskich w ponurych dniach prześladowań.

Przez wszystkie okresy historji, przed w. XVI, zachowała się w Anglji świadomość tej jedności i władzy centralnej, która jej strzeże, Stolicy Apostolskiej w Rzymie. Tylko umyślnie zamknąwszy oczy przed widocznemi faktami, można zaprzeczać tej ciągłości, a jest niezaprzeczonym faktem, że od początku XVI wieku cały naród uznawał jedność wiary i autorytet Rzymu.

Po drugie we wszystkich okresach naszej historji zachowywała się wiara w prawdę Boskości Drugiej Osoby Przenajświętszej Trójcy. Wszyscy przyjmujący religję katolicką wyznawali otwarcie wiarę w Jezusa Chrystusa, prawdziwego Boga i prawdziwego człowieka.

Po trzecie zachowała się w owej epoce poprzedzającej rozłam, zupełna jednolitość kultu Kościoła katolickiego. Wszyscy wierzyli w rzeczywistą obecność Jezusa Chrystusa w Przenajświętszym Sakramencie, wszyscy uznawali Mszę św. jako zasadniczy akt nabożeństwa.

Dziś my, którzy należymy do Kościoła szczęśliwie wolnego, znajdujemy się wobec całego kraju w tem samem charakterystycznem położeniu, w jakiem znajdowali się w czasach przeszłości Bretonowie, Sasi, Normandowie, Anglicy katolicy. I dziś tak samo zachowujemy naukę i praktyki owych czasów, w obliczu całego świata, wbrew trudnościom trzech wieków. Musimy zachować to dziedzictwo i w dzisiejszych warunkach religijnych,

jakie panują w Anglji, poza naszym Kościołem. Ci, którzy w XVI wieku usiłowali oddzielić Anglję od jedności chrześcijańskiej, sądzili błędnie, że zdołają zmusić siłą naród angielski do pozornej jedności wiary i kultu, zapominając, że zasada wolności sądzenia wyklucza jedność myśli.

Dziś spostrzegamy fatalne następstwa tego błędu. Podczas gdy dawniej kult opierał się na wierze, to teraz, gdy wiara znika, stracił kult swoje znaczenie i swój wpływ na ludność. Wiara w boskość Zbawiciela staje się coraz rzadszą i coraz to inne i coraz dziwaczniejsze zaczynają tworzyć się różnice w rzeczach wiary i kultu w tej Anglji, gdzie niegdyś we wszystkich kościołach jednakowo składano hołd Bogu.

Gdy rozbito jedność, napróżno szukano jednorodności; obecnie znika i wiara w najprostsze prawdy chrześcijaństwa.

Nie zabraknie także i następstw moralnych.

Nie uznaje się już swiętości małżeństwa chrześcijańskiego i jego nierozerwalności. Nie zwraca się zupełnie uwagi na tradycje chrześcijańskie, które stanowiły podstawę naszej cywilizacji. Stąd spadają obecnie na nas katolików poważne obowiązki, cięższe niż w przeszłości. Na Kościół katolicki w Anglji spada dziś ciężar i odpowiedzialność, jakich nie dźwigał w czasach największej swej potęgi, bogactwa i wpływu.

My tylko w Anglji, wśród tylu miljonów obywateli, którzy nie zatracili bojaźni Boga i czci dla rzeczy bożych, ale w ciemnościach szukają prawdy, musimy powtarzac nieustannie, że prawda boska nie może się zmieniać, że moralności chrześcijańskiej nie można usunąć, że ludzie tak jak i dawniej, są odpowiedzialni przed Bogiem, że to życie jest tylko przejściem i przygotowaniem do życia, które nie będzie miało końca.

Trwając w posłuszeństwie względem jednej władzy boskiego pochodzenia, niewzruszony we wierze w boskość Jezusa Chrystusa, wytrwały w adoracji Boga w ofierze Mszy św., Kościół nasz wchodzi obecnie w drugie stulecie wolności zdobytej w 1829 roku. Los Anglji przy końcu tego drugiego wieku zależeć będzie w większej części od działalności katolików angielskich w najbliższej przyszłości. Korzystając w pełni z naszej wolności z miłości ku Bogu, ku naszej wierze i ojczyźnie, potrafimy zjednoczonemi siłami powstrzymać w większej mierze prąd rozprzężenia, który wszyscy ludzie dobrze myślący widzą, i nad którym ubolewają. Oby Bóg był z nami w naszych wysiłkach i w naszej walce. *Osservatore Romano.*

Z PSYCHOLOGJI ŻYCIA CHRZEŚCIJAŃSKIEGO.

APOSTOŁ TUAREGÓW.

Przykładem bohaterskiej miłości Chrystusa jest życie pustelnika i misjonarza afrykańskiego hr. Karola de Foucauld). Po-*

*) Piękne studjum o Karolu Foucauld napisał *René Bazin* („Charles de Foucauld L'ermite du Sahara" — Paris-Plon). Obecnie, jak donoszą dzienniki, ma wyruszyć w głąb

chodzący ze znakomitego rodu, wykwintnie wychowany, spędza on długie lata w ubogiej pustelni, w głębi Sahary, wśród dzikich plemion arabskich i tuaregskich. Listy jego i pisma) wydane po jego śmierci, pełne są bezgranicznej miłości ewangelicznej i odsłaniają tę duszę, stojącą na niebosiężnych wyżynach chrześcijańskiej doskonałości.*

Jako młody oficer w algierskim pułku strzelców, zwiedził hr. de Foucauld Marokko i Algier, oddając się z zapałem badaniom geograficznym i meteorologicznym w tamtejszych okolicach. Dzieło, jakie napisał na podstawie swoich doświadczeń, zdobyło mu złoty medal Towarzystwa Geograficznego w Paryżu. Jednakże młody uczony nie poszedł dalej drogą naukową. Inne wzywało go powołanie.

Podróżując po pustyniach Afryki, zagłębiając się w tajemnice przyrody, patrząc na świątynie ludów muzułmańskich, zaczął odczuwać Karol Foucauld tęsknotę za swoją religją, za wiarą swoich przodków, utraconą pod wpływem różnorodnych systemów filozoficznych, które studjował w latach pierwszej młodości. Nie znał jeszcze wówczas filozofji chrześcijańskiej, a jak pisał później, ona jedynie powinna być mistrzynią i strażniczką młodości, gdyż ona tylko uchronić ją może przed chaosem różnych zgubnych doktryn filozoficznych.

Powróciwszy w 1890 roku do katolicyzmu, zostaje Karol de Foucauld trapistą, najpierw we Francji, a później w Akbès, w Azji Mniejszej. Jednakże reguła klasztoru Trapistów jest jeszcze za mało surową, za mało ascetyczną dla niego. Uzyskawszy pozwolenie przełożonych, zamieszkuje w Nazarecie, w nędznej lepiance, jako posługacz przy klasztorze Klarysek. Pragnie spełniać najcięższe prace i doznawać największych upokorzeń, szczęśliwy, że może cierpieć w Nazarecie; oddaje się tam surowej pokucie, odbywa ciągłe rekolekcje, rozpamiętywując życie Przenajświętszej Rodziny. Pisze swoje rozmyślania, nieskończone rozmowy z Chrystusem, z których przebija bezgraniczna, płomienna miłość dla Boga, pragnienie znoszenia dla Niego największych cierpień i ofiar. Odczuwa ogromną wdzięczność dla Boga, że powołał go na swoje drogi z dróg życia światowego;

Sahary specjalna komisja kapłanów katolickich, w celu poczynienia badań potrzebnych do rozpoczęcia procesu beatyfikacyjnego Karola de Foucauld.

*) Charles de Foucauld: *Écrits spirituels*, Paris-Plon 1925.

pisze wspomnienia ze swojej przeszłości, zaznaczając, że świadczy ona o nieskończonej dobroci i miłosierdziu Bożem. W 1900 roku jedzie do Rzymu i otrzymuje święcenia kapłańskie; pamiętając że w Afryce, którą zwiedzał, jest wielki brak kapłanów, postanawia poświęcić się nauczaniu dzikich tamtejszych krajowców w okolicach, gdzie nigdy jeszcze nie przebywał kapłan katolicki. W Bèni-Akbes na Saharze, zakłada swoją pierwszą pustelnię, buduje przy niej małą kapliczkę i zakłada ogród dla krajowców. Pustelnię nazywa „Miłosierdzie“ i służy ona odrazu za gospodę, szpital, szkołę i przytułek dla miejscowych plemion muzułmańskich. Odwiedzają go tam przyjaciele, jak generał Laperrime i O. Guérin, prefekt apostolski na Saharze i zdumiewają się nad surowością reguły, w jaką ujął swoje życie oddane pracy i modlitwie. Starał się ks. Foucauld zdobywać serca i dusze krajowców, nie namowami i upomnieniami, ale tylko różnemi usługami, życzliwością i przykładem wzorowego, chrześcijańskiego życia. Zjednał też sobie wśród nich wielką cześć i nazwę świętego „marabout“.

Główną swoją pracę apostolską i misyjną rozwinął dopiero Karol Foucauld w dalszych i dzikszych jeszcze okolicach pustynnej Afryki, w krainie Tuaregów w wiosce Tamanrasset, oddalonej 700 km. od najbliższej osady cywilizacji. W tej nowej swojej pustelni poświęca się święty kapłan przygotowaniu gruntu dla przyszłych misjonarzy. Pisze dla nich obszerne rady i wskazówki, układa słownik tuaregsko-francuski, tłumaczy dla krajowców Ewangelje, pracuje nad katechizmem, zastosowanym odpowiednio do umysłów Tuaregów. Jest on prawdziwym dobroczyńcą, lekarzem, doradcą i nauczycielem dla całej tej wioski, zamieszkałej przez rasę berberyjską. Wykupuje niewolników, przygarnia bezdomnych, leczy chorych, godzi zwaśnionych; a ze wszystkimi prowadzi długie rozmowy o Bogu i duszy ludzkiej. Po śmierci Karola Foucauld naczelnik wioski Moussa, napisał do jego siostry list, w którym wyrażał swój podziw dla świętego pustelnika i żal z powodu jego śmierci.

Będąc jeszcze trapistą w klasztorze w Akbès pragnął Karol Foucauld ponieść śmierć męczeńską dla Chrystusa. Przebywając w dzikich okolicach był zawsze pełen pogody, radując się, że znajduje się blisko Boga, jakby już w pobliżu wieczności; samotny wśród ciągłych niebezpieczeństw, w pustyni pełnej grozy,

zachowywał zawsze wielki spokój płynący z ufności w Boga i z poczucia, że spełnia Jego wolę. W czasie wojny brał wielki duchowny udział w losach Francji, modlił się o jej zwycięstwo, nie doczekał go już jednak, zginął bowiem w 1916 roku, zamordowany w swojej pustelni przez zbuntowanych Arabów. Było to zabójstwo polityczne, dokonane przez krajowców, podburzonych przeciwko Francji przez jej wrogów.

W 1913 roku posłał Karol Foucauld przełożonemu Ojców Białych w Algierze, ułożony przez siebie statut Towarzystwa, mającego na celu budzenie ducha misyjnego w narodzie francuskim, uważał on bowiem, że każdy naród katolicki, zwłaszcza Francja, posiadająca kolonje w Afryce, obowiązany jest pracować nad nawróceniem ludów pogańskich. Statut ten to jakby testament Ks. Foucauld, zaznacza on w nim konieczność wysiłku nad wyrabianiem ducha misjonarskiego i apostolskiego i podaje wskazówki, w jaki sposób mają misjonarze pracować nad tamtejszemi plemionami Tuaregów. Testament ten został urzeczywistniony, i obecnie w Paryżu istnieje „Towarzystwo im. Karola Foucauld“, przewodniczącym jego jest Mgr. Le Roy, arcybiskup z Carie.

Generał Laperrine zbudował w Tamanrasset piękny grób dla świętego apostoła Tuaregów; w kilka lat później, zginąwszy właśnie w tej okolicy, podczas rozbicia samolotu, pochowany został obok swego przyjaciela. Na pamiątkę Karola Foucauld pustelnie jego zamieniono na gospody dla podróżnych, a wspomnienie jego bohaterskiego poświęcenia, pamięć o jego świetlanej postaci żyje w tamtejszych okolicach, przygotowując, jak on tego pragnął, drogi dla przyszłych apostołów Tuaregów.

W. Krzyżanowska.

STANOWISKO KATOLIKÓW W HOLANDJI.

Sławny list pasterski biskupów holenderskich w sprawie szkolnictwa, zjednoczył wszystkich katolików w Holandji w jedną polityczną partję państwową. W Izbie niższej, głównej arenie politycznej kraju, sto mandatów dzieli się na przeszło dziesięć partyj. Katolicy rozporządzają trzydziestu mandatami

i jednym niezależnym. Następnie idą socjaliści z dwudziestu dwoma mandatami, a reszta jest podzielona między różne mniejsze partje. Nawet każdy zupełnie nie obznajomiony z polityką holenderską może stąd zrozumieć doniosłe znaczenie partji katolickiej. Chociaż członkowie jej na wewnątrz nieraz walczą między sobą, to jednak, gdy tylko stanie przed nimi jakaś kwestja tycząca się prawa i sprawiedliwości, nie omieszkają oni nigdy stanąć jednolitym frontem.

Ów zbiorowy list pasterski o szkołach nietylko złączył katolików razem, ale zmusił ich równocześnie do przymierza z dawniejszymi ich przeciwnikami, dwoma partjami protestanckiemi. Obecnie mają oni jeden wspólny cel, bronienia swoich własnych szkół religijnych. Jeden z największych i najwymowniejszych parlamentarzystów holenderskich, Mgr. Schaepman, odniósł pierwsze zwycięstwa. Walka toczyła się przez dziesięć lat aż do ustawy pokojowej w 1919 roku. Od tego roku, państwo opłaca wszelkie nauczanie elementarne i oddaje władzom kościelnym tyle wyposażonych szkół, do ilu mają prawo na mocy cenzusu ludności. Tylko ogromne koszta uniemożliwiły tę politykę także w zakresie wyższego stopnia nauki. Było to świetne zwycięstwo i uwolniło od opłat, składanych aż dotąd na naukę religji. Tak bardzo zadowalające rozwiązanie kwestji szkolnej otworzyło nowe pola działalności w innych dziedzinach. Stało się rzeczą możliwą założenie przed kilku laty uniwersytetu katolickiego „Carolus Magnus“ w Nimwegen, i chociaż nie wszystkie wydziały są już otwarte, uniwersytet w Nimwegen ma już wiele zasług, i znalazł naśladowcę w drugiem ognisku katolicyzmu, uniwersytecie handlowym w Tilburg.

W polityce i ogólnem życiu państwa biorą katolicy liczny udział. Partja katolicka dała w ostatnich latach cały szereg niezwykle wybitnych mężów stanu. Mgr. Nolens który był przeszło ćwierć wieku członkiem parlamentu i prawie również długo kierownikiem swojej partji, jest nietylko politykiem międzynarodowej sławy — konferencje w Waszyngtonie, Wiedniu i Genewie świadczą o tem wymownie — ale i wewnątrz kraju ma ogromne znaczenie i jest stałym doradcą królowej. W 1918 roku powołany przez nią do utworzenia gabinetu, utworzył go, ale odmówił zaszczytu przewodniczenia w nim. „Jeszcze nie nadszedł czas, by kapłan katolicki mógł być przewodniczącym gabinetu w tym protestanckim kraju”, odpowiedział kierownikowi partji przeciwnej, który pragnął, by dał się złapać w tę pułapkę, aby potem można grać na ukrytych instynktach mas, kierując je przeciwko „papieskiemu premierowi”. Na jego miejsce przewodniczył gabinetowi, utworzonemu przez Mgr. Nolensa, młody stosunkowo człowiek Ruys De Beerebbrouck, od 1918 roku nieprzerwanie aż do 1925 roku. Ale i wtedy nie został zwyciężony, zmęczony jednak ciężarem swego stanowiska w ciągu niezwykle trudnych lat powojennych, zrezygnował z niego i został zaraz wybrany przewodniczącym izby niższej, wyższa izba miała już katolika za prezydenta, mianowicie generała barona Van Voortsa.

Jedną z najświetniejszych gwiazd na politycznem niebie Holandji, jest jednakże Dr. Aalberse, który był ministrem pracy w gabinecie swego współwyznawcy Ruys De Beerenbroucka. Człowiek obdarzony wielkimi przymiotami serca i umysłu, wzór rzadkiego polityka, który łączy w sobie młodzień-

czy idealizm z zimnem, matematycznem, przewidywaniem doświadczonego administratora, jest on bezwątpienia jednym z najwybitniejszych katolików jakich zrodziła Holandja. W ciągu licznych podróży miałem często sposobność słyszeć zdanie wybitnych ludzi zagranicy, i właśnie przed miesiącem, przewodniczący Unji handlowej w Kanadzie, niezwykle zdolny jej kierownik Moore, wyrażał się o holenderskich stosunkach społecznych w jak najpochlebniejszych słowach. Minister Aalberse jest bez najmniejszej wątpliwości, człowiekiem, który zbudował tę gigantyczną budowlę, o której Holandja może spokojnie powiedzieć, że przoduje postępowi społecznemu w całym świecie, i na którą może Dr. Aalberse, obecnie sekretarz partji katolickiej w parlamencie, wskazywać jako na swoje dzieło. Fakt, że cała atmosfera holenderskiego katolicyzmu w ciągu ostatnich lat dziesięciu przejęła się entuzjastycznie Encykliką *Rerum Novarum* papieża Leona XIII, zawdzięcza się przedewszystkiem Aalbersemu. Mówiąc o katolickim rozwoju społecznym, odwołujemy się zwykle do Ozanama lub kardynała Mermilloda. Jednakże i we własnej naszej epoce świeci jasnem światłem postać wielkiego ministra gabinetu, który, gdyby Holandja była bardziej znaną, byłby uznany za jednego z największych katolików naszych czasów.

Walka polityczna ostatnich lat dziesięciu była doskonałą szkołą dla wielu zdolnych i zręcznych polityków i administratorów. Tego rodzaju postępu nie osięgnięto jeszcze w dziedzinie nauki i sztuki. Tu nie zniknął jeszcze zupełnie wpływ dawnego systemu nauczania. Jest jednakże faktem znamiennym, że podczas gdy naogół niekatolicy są przodownikami w tych dziedzinach, wielu z genjuszy, a słowo to nie jest tu za silne, przeszło na katolicyzm. W ostatnich latach najwybitniejszy kompozytor holenderski, Dr. Alfons Diepenbrock, został katolikiem, jest nim także najlepszy dyrygent, sławny Dr. Willem Mengelberg, słynny architekt, Dr. Cuypers, najznakomitszy prawnik w Holandji, Dr. Struycken, i jeden z najznakomitszych uczonych, profesor Keesom, a największy malarz, Toorop, który umarł przeszłego roku, i najwybitniejszy żyjący autor, Dr. Fryderyk Van Eeden, przeszli na katolicyzm.

Możnaby przedłużyć jeszcze szereg sławnych nazwisk, znanych daleko poza granicami Holandji. Ale bardziej jeszcze uderzającem od niego jest obecne, młode pokolenie Holandji, które teraz, gdy może zaspokoić swój głód wiedzy i piękna u źródeł kultury katolickiej, wyrusza na zdobycie opuszczonych dziedzin. Katolicka literatura i sztuka w Holandji od czasu Reformacji były naogół dosyć słabo rozwinięte, jednakże nowa wiosna zapowiada obfite i świetne lato katolickiego odrodzenia.

Nic się do tego nie przyczyniło skuteczniej, niż katolicka prasa. Holandja posiada dwa wielkie dzienniki katolickie, *De Tyd*, którego wspaniały gmach w Amsterdamie nazywany jest „zamkiem nad Amstel” i *De Maasbode* w Rotterdamie. *De Tyd* jest dawniejszym i jest jeszcze, pod pewnym względem, uznanym naczelnym organem katolickiej polityki i kultury. Jego główny wydawca, Alfons Laudy, stanął w szeregu najlepszych dramaturgów holenderskich, zdobył niezwykłe powodzenie swoim utworem *Ucieczka z raju*, który w krótce zostanie przełożony na język angielski. Dziennik

Maasbode jest jednak większym i posiada tak poranne jak i wieczorne wydanie. To, że wychodzi on w Rotterdamie, wskazuje już, że jest to przedewszystkiem dziennik handlowy. Poza temi dwoma głównymi dziennikami rozchodzącymi się po całym kraju, jest jeszcze w Holandji dwadzieścia pięć innych dzienników katolickich, lokalnych i prowincjonalnych, wiele z nich jest bardzo dobrze prowadzonych; poza tem wiele tygodników i miesięczników, dla wszystkich sfer społecznych, od najwyższych do najprostszych. Odwiedzający Międzynarodową Wystawę Prasy w Kolonji w tym roku, nie mogli nie zanotować długiego szeregu eksponatów holenderskich.

Łatwo zrozumieć, że ten rozwój katolicyzmu musiał bardzo poruszyć protestantów. Kościoły protestanckie coraz więcej się opróżniają, i z wyjątkiem kilku sekt prawowiernych, na miejsce każdego kościoła protestanckiego powstają dwa kościoly katolickie. Jest to wielkiem i trudnem zadaniem dla katolików w Holandji, by zdobyli tych słabo wierzących dla prawdy, zanim zapadną oni we współczesne pogaństwo. *America.*

WOJNA DOMOWA W MEKSYKU.

Dzienniki otrzymały z Meksyku ogłoszenie rządu, w którem Portes Gil oskarża osoby należące do Kościoła katolickiego, o podżeganie agitacji politycznej, i pod tym pozorem konfiskuje dobra kościelne oraz nakazuje kapłanom zawiadomić rząd o miejscu swego zamieszkania pod karą posądzenia o współudział ze zbuntowanymi. Równolegle z tem prześladowaniem katolików idzie w parze popieranie na wielką skalę protestantów, którym pozwolono odbyć kongres w Meksyku, dokąd przybyli delegaci meksykańscy i zagraniczni, w celu omówienia rozwoju protestantyzmu w tym kraju. W międzyczasie, 1-go lutego uwięziono w Guadalajara kapłana Salvatora Santa Cruz, oskarżonego o przestąpienie prawa, dlatego, że spełniał czynności religijne w domu prywatnym, nie będąc zarejestrowanym według przepisów rządowych. Oprócz tego telegram wysłany ze Stanów Zjednoczonych do Kurji generalnej Towarzystwa Jezusowego donosi, że 14-go lutego w Parras w stanie Coahuila rozstrzelano O. Davida Maduro T. J. Na jakiej podstawie dokonano tej zbrodni, jeszcze nie wiadomo, — jednakże kto znał roztropne usposobienie tego zakonnika, oddanego wyłącznie swemu zawodowi kapłańskiemu i trzymającego się zdala od wszelkiej akcji politycznej, nie może nie uważać go, jak i ś. p. męczennika O. Pro, za nową ofiarę prześladowań. O. Maduro urodził się 24 października 1885 roku, do Meksyku przybył w 1926 roku; w czasie wybuchu prześladowań był przełożonym w Parras, gdzie pozostał jedynym kapłanem w tem mieście, pokrzepiając obrzędami religijnemi prześladowanych katolików.

Episkopat meksykański, donosi dalej *Civiltà Catholica* w liście zbiorowym o wolności religijnej, wzywając wiernych do godnego uczczenia jubile-

uszu kapłańskiego Ojca św., podkreśla szczególne powody, za które należy mu się wdzięczność katolików meksykańskich. Jest to zasługą Piusa XI, że cały Kościół w dniu fatalnym 1-go sierpnia 1926 roku, zjednoczył się w błagalnej modlitwie o wolność Kościoła meksykańskiego i o pokój dla wiernej ludności, jemu zawdzięcza się spokój sumienia, z jakim przyjęto zawieszenie publicznych obrzędów religijnych w całym Meksyku, ten godny protest przeciwko świętokradzkiej ingerencji rządu; papieżowi również, że spisek przemilczania, zorganizowany przez wrogów Kościoła, zawiódł zupełnie wobec protestu katolików całego świata, i że nie zabrakło pomocy dla tylu nieszczęść i nędzy. Prócz tego wykazanie miłości dla Ojca św. powiększają jeszcze nieudane wysiłki, podjęte przez ludzi niewierzących, by „zniekształcić pełen chwały Kościół meksykański w śmieszny kościół narodowy, oddzielony od Ojca powszechnego wszystkich prawdziwych chrześcijan". Co się zaś tyczy sposobu obchodzenia jubileuszu, oprócz modlitw codziennych za Ojca św., zbierać będą dla niego dary wszystkie instytucje pobożne i dobroczynne, a kobiety katolickie zajmą się organizacją uroczystych hołdów dla Ojca św. W całym Meksyku, w dniu 30 czerwca odbywać się będą pielgrzymki do kościołów, gdzie odmawiany będzie różaniec za Ojca św., i wygłoszone odpowiednie nauki, tyczące się Ojca św. i gdzie wreszcie się odśpiewa głośno „Credo", wyznanie katolickiej wiary. W ten sposób Meksyk stwierdzi coraz to lepiej wobec całego Kościoła swoją chwałę, że umiał zawsze krwią swoich męczenników, ofiarnością i wytrwałością swoich wiernych, — „nauczać świat jak się miłuje Boga, ojczyznę, Kościół, Ojca św."

Dzienniki londyńskie otrzymują wiadomości przeważnie lakoniczne i sprzeczne. Podobno kilka wielkich oddziałów armji związkowej, zebranych w środkowym Meksyku, zderzyło się z główną siłą wojsk generała Escobara.

Generał wojsk związkowych Cedillo uwięził 4.000 powstańców, którzy uchodzili z Santillo, w chwili opuszczania tego miasta przez wojska rewolucyjne.

Według komunikatu powstańców, pierwszy atak, który miał rozstrzygnąć o ostatecznym wyniku walki, odbył się 15 marca, gdy kawalerja powstańców zaatakowała przednią straż wojska związkowego w miejscowości położonej o 30 km. na południe od miasta Torreon.

Powstańcy twierdzą, że rozbili główną straż przednią wielkiej armji związkowej generała Callesa i że zabili generała Gorresa, jednego z najlepszych komendantów wojsk związkowych.

Mówi się wreszcie, że generał Escobar zgromadził 10 tysięcy ludzi na północ od miasta Torreon. Jego taktyka polega na unikaniu spotkania z wojskami związkowemi i na ograniczeniu się do prowadzenia walk podjazdowych; w międzyczasie miał przybyć do Cruz generał Mango i maszeruje dalej ze swojem wojskiem ku brzegom zachodnim.

Według twierdzeń korespondentów amerykańskich prawda o rewolucji w Meksyku ukrywaną jest ze względów na propagandę, jaką prowadzi tak rząd meksykański jak i powstańcy.

Rząd za pośrednictwem swojej potężnej stacji radjotelegraficznej wy-

syła biuletyny, z których wynika, że powstańcy znajdują się w twierdzy miasta Santillo, i że generał Almazan połączył się ze swemi 8.000 ludzi z wojskiem generała Callesa, głównego dowódcy armji związkowej.

Według późniejszych wiadomości powstańcy zabrali z banku w Santillo około dwóch miljonów lirów.

Komunikat z kwatery generała powstańców w Juarez donosi, pisze *Osservatore Romano*, że wojska związkowe zostały niespodziewanie rozbite. Równocześnie komendant powstańców w Chihubua, stolicy prowincji tejże nazwy, zawiadamia, że wielką liczbę armat i 280 ludzi, należących do wojsk związkowych, wzięto do niewoli koło Aigeuras, między miastem Santillo a Monterey.

Tak armja związkowa jak i powstańcy chwalą się ze zwycięstw, które mieli odnieść na wschód i południe od Torreon. Generał Centillo ogłosił, że wziął do niewoli 4.000 powstańców, którzy uciekali z trenem z Santillo w kierunku Torreon. Z drugiej znowu strony generał Graveo ogłasza, że pobił kilka oddziałów wojsk związkowych, i donosi o wzięciu do niewoli kilkuset żołnierzy związkowych w Artego, oraz o zwycięzkiej bitwie, w której wojska rządowe straciły swego komendanta, generała Torres.

W międzyczasie jeden oddział związkowy z Durango, na rozkaz generała Medina posuwający się w kierunku Torreon, w bitwie przedniej straży na pół drogi między Ganitas a Durango, zabił 60 powstańców, i wielu wziął do niewoli, a siedmiu z nich skazano odrazu na śmierć.

Jak wiadomo, przypomina *Das Neue Reich*, rząd Stanów Zjednoczonych popiera jawnie rząd w Meksyku; chodzi mu bowiem o olbrzymie udziały, jakie Ameryka ma w kopalniach nafty w Meksyku. Prezydent Hoover zabronił wszelkiego prywatnego wywozu broni, zato dostarcza on sam rządowi meksykańskiemu, będącemu w potrzebie, broni, amunicji, aeroplanów i pieniędzy, a nawet pozwala wojskom rządowem, by w razie potrzeby chroniły się na terytorjum amerykańskie. Pozycja powstańców staje się oczywiście bardzo ciężką.

JAK POWSTAŁ UNIWERSYTET KATOLICKI W JAPONJI.

W 1905 r. Ojciec św. wyraził przed generałem zakonu OO. jezuitów, życzenie, by poczyniono starania o założenie uniwersytetu katolickiego w Japonji. Nieco później udał się biskup, potem kardynał O'Connell z Ameryki do Japonji, by poczynić odpowiednie kroki w tej sprawie. Został on tam przyjęty, z jak największą uprzejmością, przez wszystkich należących do świata intelektualnego i oficjalnego Przekonał się, że istnieje w Japonji wielka cześć dla katolików i Kościoła katolickiego, i wyraźne pragnienie, by zdobyli tam oni większe znaczenie. Podczas swoich odwiedzin w Naga-

saki, mieście chrześcijańskich męczenników, cała ludność prosiła go o wyrażenie w Rzymie ich życzenia, by jezuici powrócili znowu do kraju, w którym zaczęli nauczać ewangelji przed trzema wiekami.

Upłynęły jednakże trzy lata, zanim udało się O. Rockliffowi, jezuicie amerykańskiemu i kilku jego towarzyszom, wylądować w Japonji. Całe nauczanie w Japonji pozostawało pod kontrolą państwową, ponieważ jednak państwo było w możności opłacenia tylko połowy zakładów szkolnych, połowa z nich pozostawała w rękach różnych innych organizacyj i w czasie przybycia OO. jezuitów do Japonji istniały tam liczne wolne szkoły, kierowane przez buddystów, a szesnaście z nich przez różne sekty protestanckie.

Początek pracy był naturalnie bardzo powolny, można było jedynie zwrócić uwagę ludzi wykształconych otwarciem księgarni i czytelni, gdzie wygłaszano odczyty z dziedziny filozofji, geografji, prawa i matematyki handlowej. Niepodobna było jednakże uczynić więcej i dokonać większych postępów, dopóki rząd nie udzielił formalnego pozwolenia i póki nie znaleziono wygodniejszego pomieszczenia. Układy o to nowe pomieszczenie trwały jednak długo i były bardzo skomplikowane, gdyż własność ta należała do pięciu różnych właścicieli i obejmowała cerkiew rosyjską. Później zaś musiano walczyć z trudnością otrzymania od rządu pozwolenia na otwarcie szkoły. Nad osiedleniem się jezuitów w Japonji zaczęto debatować w specjalnej radzie ministerjalnej, i sprawa zaczęła przybierać wygląd bardzo niekorzystny, gdy sama Opatrzność się w nią wmieszała.

Właśnie w owym czasie przybył odwiedzić Japonję O. Bernard Vaughan; jego przyjaźń z królem Edwardem VII była powszechnie znaną, jego więc przemówienia i konferencje prawdopodobnie ułatwiły wielce układy, gdyż w krótkim czasie po jego wyjeździe, 29 marca 1913 r., minister wyznań religijnych oświadczył telefonicznie: „podpisałem akt zezwalający wam na otwarcie waszej szkoły“. 8 grudnia położono pierwszy kamień pod nową budowlę, a w jesieni 1914 roku stał już nad morzem odpowiedni gmach. Nowy uniwersytet, który otrzymał pozwolenie udzielania dyplomów, składał się z dwunastu sal wykładowych, dwóch wielkich hal i biljoteki.

Jednakże teraz, gdy po wielu trudnościach przybito do przystani, trzy niespodziewane ciosy spadły na nową istytucję. Pierwszą z nich była wielka wojna, którą w Japonji trudno było przewidzieć. Uniwersytet, który miał bardzo ograniczone środki finansowe, ujrzał nietylko zamknięte przed sobą główne źródła swego dochodu, ale stracił część swych kapitałów zebranych i przechowywanych w Niemczech.

Drugi cios pochodził od rządu japońskiego. Prawie natychmiast po zawarciu pokoju, minister oświaty wydał dekret obowiązujący wszystkie prywatne uniwersytety, chcące utrzymać lub uzyskać prawo udzielania stopni uniwersyteckich, do złożenia w banku narodowym sumy 500.000 jenów (250.000 dolarów) za pierwszy wydział, a po 100.000 jenów za każdy następny. Każdy uniwersytet, który nie mógł wypełnić tych warunków (a było takich wiele, nie wyłączając i katolickiego), musiał zejść z poziomu uniwersytetu (Daigaku) do poziomu szkoły specjalnej (Sennen Kotto). Depozyt ten nie miał być całkowicie stracony, ale miał służyć dobru i pożytkowi

danej szkoły. Rząd przedsięwziął te środki, w celu zmniejszenia zbyt wielkiej liczby uniwersytetów prywatnych, i w celu przekonania się o finansowej możności utrzymania ciała profesorskiego na wysokim zawodowym poziomie.

Trzeci cios przyszedł z ręki Boga. 1-go września 1923 roku, w południe, miasto Tokio doznało gwałtownego trzęsienia ziemi. W pół godziny po pierwszym wstrząsie wybuchło przeszło sto pożarów. Jakby zrządzeniem Opatrzności ta strona dzielnicy, w której znajdował się uniwersytet katolicki, została ocaloną od ognia, jednakże gwałtowne wstrząśnienie tak zniszczyło górną część zabudowań, że tylko w niższych częściach można było mieszkać.

Po jakimś czasie skromna, drewniana budowla stanęła na miejscu zniszczonego gmachu, i rozpoczęło się normalne życie. Jednakże te trzy nieszczęścia dotknęły ciężko uniwersytet katolicki, obecnie już nie uniwersytet. W poprzednich latach powodzenie jego było ogromne. Przybywało wielu studentów, gdyż nauka stała na wysokim poziomie. Inspektor prywatnych uniwersytetów powiedział, powierzając swego syna, że jest to najlepsza ze wszystkich szkół, pozostających pod jego juryzdykcją. Zasługi profesorów tego uniwersytetu były uznane przez rząd. Dwóch z nich wykładało na kursach językowych w uniwersytecie cesarskim; inny nauczał w jednej z głównych wyższych szkół państwowych, a innych proszono o wykłady religji na najlepszych uniwersytetach.

Powodzenie to nie miało być jednak trwałem. Liczba uczniów spadła z 180 w 1923 roku do 67 w 1926 roku. Ponieważ nie można było zapobiec temu niepowodzeniu, przewidywano zupełny upadek. Przyczyna tego była aż nadto wyraźna: nie można było dawać dyplomów, nie było więc uczniów. Zanim mogła przybyć jakaś pomoc, jasną było rzeczą dla każdego w Japonji, że Kościół katolicki nie mógł utrzymać jednego małego uniwersytetu. Suma jaką trzebaby złożyć w depozycie, wynosiła 300.000 dolarów, a uniwersytet rozporządzał tylko sumą 100.000 dolarów.

Ojciec św. interesował się głęboko losami uniwersytetu japońskiego. Nieraz zachęcał on kierowników tej instytucji do wytrwania w pracy i podtrzymywał ich w dniach próby. Podczas jednej rozmowy w 1925 r. powiedział, — że uważa uniwersytet katolicki w Tokio za instytucję o wielkiem znaczeniu dla nawrócenia Japonji, i starał się o zdobycie środków pomocy dla jej dalszego rozwoju. W rok później, dowiedziawszy się, że trudności nie zostały jeszcze usunięte, nalegał silniej: „Jest rzeczą konieczną“, mówił, „za wszelką cenę utrzymać ten uniwersytet; wchodzi tu w grę honor Kościoła katolickiego wobec pogan dalekiego Wschodu”.

Po wielkich trudnościach zdobyto potrzebną pożyczkę, i złożono w depozycie żądaną sumę. Trzeba było dopełnić jeszcze innych warunków, by rząd zatwierdził znowu statut uniwersytetu. Trzeba było zwiększyć liczbę profesorów, i złożyć przyrzeczenie, że powiększoną zostanie liczba książek w bibljotece oraz liczba budynków. Nastąpiły długie i ciężkie układy, w ciągu których życzliwej i skutecznej pomocy udzielał Dr. Hashimoto, dawny uczeń, który zajmował poważne stanowisko w ministerjum Oświaty. Doczekano się wreszcie powodzenia, i 8 maja 1928 roku, cesarz podpisał dekret

nadający uniwersytetowi prawo udzielania stopni akademickich. Zaraz potem dekret ukazał się w gazecie urzędowej, i przywilej był już zapewniony.

Najbliższa jednak przyszłość nie przedstawia się, mówiąc po ludzku, świetnie. Poczyniono przyrzeczenia i te muszą być dotrzymane. Poczyniono plany wzniesienia pięknego budynku, na miejsce zniszczonego przez trzęsienie ziemi w 1923 roku, jednakże dotąd są to tylko plany. By je urzeczywistnić, potrzebną jest większa suma pieniężna. I tu trzeba zaufać Opatrzności i wspaniałomyślności katolików w całym świecie.

Jest już prawie 400 lat od chwili, gdy św. Franciszek Xawery wylądował w Japonji. Uniwersytet katolicki, czyli Jochi Daigaku usiłuje dokonać tam tego, o czem marzył wielki apostoł. Trzeba czytać listy z Jochi Daigaku; prosi się w nich ciągle o przysłanie z Europy wykształconych ludzi, którzyby byli zdolni udać się odrazu do uniwersytetów bonzów, i nawracać kraj, zaczynając od góry. O to stara się obecnie Jochi Daigaku.

Praca apostolska w Japonji posiada ogromne znaczenie, gdyż jest wielce obiecującą. Chrześcijanie, wyrobieni przez towarzyszy św. Ksawerego, byli dosyć dzielnymi, by utrzymać poprzez trzy stulecia prześladowań dziedzictwo wiary. Gdy w 1865 roku misjonarze katoliccy pojawili się w Japonji, wystarczyło im zbudować małą kaplicę i umieścić tam obraz Matki Boskiej, by zgromadzili się koło nich potomkowie męczenników. Możemy liczyć na tę wytrwałość charakteru japońskiego w pracy nad nawróceniem Azji. Japonja zdobyła dla siebie wybitne stanowisko na całym Wschodzie. Za pośrednictwem Jochi Daigaku może Kościół katolicki wywierać potężny wpływ na życie intelektualne Japonji. Jeśli da się tego dokonać, będzie to wielki krok naprzód ku nawróceniu miljonów ludzi, którzy są jeszcze pogrążeni w ciemnościach. *America.*

KS. SONNENSCHEIN, APOSTOŁ BERLINA.

W Berlinie umarł ks. Dr. Karol Sonnenschein. Miljony katolików, wobec tej żałobnej wieści, uświadomiło sobie wielką stratę, jaką ponieśli, nietylko pod względem ogólnym, ale i osobistym. Sonnenschein żył jak żebrak, a pogrzeb miał książęcy. Sprawdza się tu znowu, że tytuł, bogactwo, stanowisko społeczne, fiolety, nic nie znaczą, że tylko osobistość jest wszystkiem. Można być ubogim kapłanem, człowiekiem w duchu franciszkańskim, w wytartem ubraniu, noszącym cały swój majątek przy sobie, i posiadającym tylko jedną małą izdebkę, z jednem biurkiem, jednym drewnianym stołkiem, kilku obrazami, wyciętemi z gazet, i telefonem — a można mieć wpływ królewski o ile tylko ma się ducha królewskiego i królewską wolę, a przedewszystkiem tę wielką miłość ku ludziom, która czyni życie wielkiem.

Ks. Karol Sonnenschein zasłynął przedewszystkiem z dwóch powodów: jako kaznodzieja idej społecznych wśród kształcącej się młodzieży w czasach przed wojną, i jako wielkomiejski duszpasterz w Berlinie powojennym.

W obydwóch wypadkach wprowadzał on w czyn wielkie swoje zadania z wielkodusznością wyjątkowego człowieka, co stawia go w jednym rzędzie z tymi, którzy tworzą historję.

Głównym rysem jego charakteru była bezgraniczna usłużność dla ludzi. Nieraz zawodziła jego pomoc, gdy brakowało mu środków, czasem zawodziła także umiejętność rozróżniania ludzi — serce jego pod tym względem było lepsze od sądu, ale nigdy nie zawiodła jego chęć niesienia pomocy, serdeczna, potężna jego wola, chcąca pomóc każdemu z tych tysięcy, którzy strudzeni i obciążeni przychodzili do niego. Pomagał on także swoim duchownym braciom, jak tylko mógł; pomagał przy ołtarzu i na ambonie, nie pytając czy to wielki czy mały kościół wzywa jego pomocy, i czy wiele czy mało osób przychodzi na nabożeństwo. Pomagał on wszystkim, aż do ostateczności, aż do oddania swoich ostatnich zapasów pieniężnych, lub swojej własnej bielizny, odzieży i pożywienia.

Jest coś wspaniałego w powołaniu kapłańskiem. Prawie wszyscy inni ludzie i inne zawody są zacieśnione do małego zakresu i zajmują się przeważnie materjalnemi troskami tego świata. Kapłan zwraca się do wszystkich i do tego, co w nich jest najlepszego. W każdym człowieku, nawet najbiedniejszym i najbardziej niewierzącym, znajduje się zakątek, w którym żyje *anima naturaliter christiana*, przejawiająca się czyto w goryczy żalu, czy w tęsknocie za zbawieniem, wznosząca się ponad przyziemny pył tego świata, która choć otoczona zgiełkiem tramwajów i gwarem ludzkim, ma swoje ciche godziny, gdy powstają najważniejsze pytania: s k ą d, d o k ą d i p o c o, i która jest wdzięczna, gdy jej mówić o ojczyźnie ponad gwiazdami. Jak szczęśliwym jest kapłan, który tą *anima naturaliter christiana* może się opiekować, jak szczęśliwym kapłan, który doczeka się owoców tej opieki! Oto jak kreśli znany publicysta Borman metodę duszpasterską Sonnenscheina: „Stałe duszpasterstwo nie było właściwie jego dziedziną; ale gdzie go wołano, tam pomagał wszędzie w winnicy Pańskiej, odprawiał nabożeństwa, wygłaszał kazanie czy odczyt, w gminie lub stowarzyszeniu. Jego troska o dusze szła drogą czynnej, gorliwej miłości bliźniego. Przytaczał on chętnie słowa biskupa Kettelera, że trzeba najpierw ludziom pomóc do zdobycia koniecznych środków do życia, zanim będzie można zacząć głosić im dekalog. Zaczynał on też zawsze w ten sposób: pomagał i starał się o zdobycie chleba, ubrania, pożywienia, pracy, potem odwagi życiowej i o powrót do wiary młodocianej. Nie pytał on szukających pomocy czy, w wielkiej stolicy, zdani tylko na siebie, lub w pogańskiej atmosferze jej przedmieść, chodzą jeszcze w niedzielę do kościoła, czy jeszcze się modlą, czy wierzą, ale dawał pomoc, i zdobywał tem sobie wdzięczne serca A potem prosił — jego niebieskie oczy umiały prosić, jak i jego miękki głos — prosił tych, którym pomógł, by zechcieli przyjść raz na jego wieczór sobotni, na jego zebranie niedzielne. Tego nie umiał mu prawie nikt odmówić. I wiedział, że kto przyszedł w niedzielne popołudnie, zostawał za parę godzin wciągnięty w ciepłą atmosferę katolickiego życia, katolickich uczuć, znajdywał kontakt z innymi ludźmi, tajał w atmosferze wspólności wiary. Prowadzono go do dawnych katolickich siedzib w przeszłości, do siedzib obecnej katolickiej pracy rękodzielniczej w klasztorach, do szpitali, zakładów

dobroczynnych, na uroczystości ludowe i nabożeństwa, i zostawał całkowicie otoczony światem, w którym rozpoznawał znowu świat swojej dziecięcej wiary. W ten sposób cicho, powoli i nieznacznie, pociągnął ks. Sonnenschein znowu wielu, którzy już od dawna obcymi byli dla Kościoła. Nie zapominał o nikim. Do długich przemówień nie miał on, tak bardzo w ostatnich latach zajęty, prawie nigdy czasu. Zadużo ludzi przychodziło codziennie do niego; musiał skąpić czasu. Ale jego umysł i jego olbrzymi indeks nazwisk nie zapominały o żadnym z przyjaciół, znajomych, wychowanków. Zawsze dostawał się im jego „Program tygodniowy“, zestawienie wszystkich prac jego „Berlińskiego Koła przyjaciól Sekretarjatu społecznej pracy studentów“. Były to zaproszenia, pozdrowienia i ostrzeżenia, było to, do samotnie żyjących w czteromiljonowem mieście katolików, wołanie: Przyjacielu, nie jesteś zupełnie zapomniany i opuszczony, chodź do nas”!

Największem w tego rodzaju działalności jest jednak to, że budzi ona w innych taką samą odwagę i wolę do podobnej pracy. Także i postać Sonnenscheina była jakby wezwaniem, tak jak powiedział raz Piotr pustelnik o Wincentym à Paulo: „Dla myśliciela, skromna sutanna Wincentego à Paulo więcej znaczy od sławnego munduru Napoleona“. Jeden przeszedł skromnie czyniąc dobrze: *Ama nesciri et pro nihilo putari*; drugi okrył się sławą, ale ta sława nazywa się krwią i łzami. Na widok pierwszego rzucają się wierzący na kolana i modlą się. Na widok drugiego powtarza się mimowoli wieczne słowo: Marność nad marnościami, wszystko jest marnością, prócz miłowania Boga i służenia Mu. Kapłaństwo jest najwyższą rzeczą, do której może człowiek na ziemi dążyć, ale jest i najtrudniejszą. Ale, gdy czujesz w sobie łaskę, gdy masz sobie za nic swój czas, swoje pieniądze, swoje życie, i swoje serce... Gdy jesteś gotowy żyć w samotności, gdy czujesz się dosyć silnym, by pomimo wszelkich przeciwieństw, pomimo nienawiści i prześladowań, wznosić głowę wysoko... Gdy uważasz, że posiadasz dosyć odwagi, by poświęcić się całkowicie dla dobra upadającej i chorej społeczności ludzkiej i poszukiwać korzenia zła, na które ona cierpi... Gdy nie unikasz z lękiem ubogiego i robotnika... Gdy gardząc życiem świata, chcesz naśladować Twego Zbawiciela, który stał się człowiekiem... Gdy słowo Boże w twem sercu porusza się gwałtownie jak ptak, który skrzydła roztacza w klatce, którąby tak chętnie chciał opuścić, by ulecieć w daleki świat — to idź, gdyż jesteś powołany na kapłana!”

Schönere Zukunft.

UNIWERSYTETY KATOLICKIE A POWRÓT DO JEDNOŚCI WE WIERZE.

Z okazji otwarcia nowego uniwersytetu katolickiego w Salzburgu, wypowiedział arcybiskup monachijski, kardynał Faulhaber, mowę o pragnieniach Ojca św., wypowiedzianych w encyklice *Rerum orientalium*.

Dla pięknych myśli, które mowa ta zawiera, podajemy ją poniżej w skróceniu za *Schönere Zukunft*.

Wzrok narodów europejskich wzrócony jest ku Zachodowi. Pesymistyczny nastrój stoi w znaku zachodzącego słońca. Głębokie cienie wieczoru leżą na umierającej obyczajowej kulturze Zachodu, która uczy nas się modlić: *Panie zostań z nami, boć się ma ku wieczorowi.* Z zachodu nadchodzi czysto gospodarczy pogląd na życie, jednostronna kultura doczesna, amerykański duch, który opanował stary świat i coraz bardziej stara się go na swój obraz przekształcić. Wzrok narodów europejskich zwrócony jest na Zachód.

Najwyższy nauczyciel chrześcijaństwa wzrok nasz skierował znowu na Wschód, ku wschodzącemu słońcu. W swej Encyklice *Rerum Orientalium* z 8 września tego roku, papież Pius XI zwrócił uwagę całego chrześcijaństwa na Wschód, a szczególnie uwagę uniwersytetów na badania nad Wschodem. Do Wschodu, w pojęciu Ojca św., należy cały świat grecko-bizantyński, świat słowiański i świat Islamu, a to nietylko te części tych światów, które są związane z rzymskim Kościołem Zachodu, lecz także i części Wschodu oddzielone. W architekturze kościelnej panuje już oddawna zwyczaj budowania kościołów ku wschodowi. Ojciec św. zwrócił i uniwersytety ku wschodowi. Przynajmniej niech mają okno na wschód i pamiętają o słowach proroka: „Otwórz okno na wschód!“ Drogi Opatrzności zaprowadziły Ojca św. Piusa XI, jako nuncjusza do Warszawy, i tam na wschodzie został on papieżem Akcji Katolickiej i Unji Katolickiej. Pius XI jest szczególnie bliskim akademikom przez cały styl swej osobowości i swego pontyfikatu. Encyklika *Rerum Orientalium* jest w szczególnem znaczeniu orędziem do świata akademickiego. Encykliki ostatnich papieży powinny być specjalnie dobrze znane naszym akademikom i powinny znajdować się w szeregu ich podręcznych, domowych książek: Syllabus Piusa IX, Encyklika pracy Leona XIII, Encyklika modernistyczna Piusa X, Encyklika pokoju Benedykta XV, Encyklika Chrystusa-Króla i Encyklika wschodnia Piusa XI.

Przy końcu Encykliki zwraca się Nauczyciel na katedrze Piotrowej do biskupów i uniwersytetów świata z trzema nakazami: należy stworzyć wszędzie, gdzie to tylke możliwe, specjalne wydziały, poświęcone wiedzy wschodniej, jak to szczęśliwie nastąpiło już w Paryżu, Lowanium i Lille. Gdzie to nie jest możliwem, należy stworzyć przynajmniej jedną katedrę dla wiedzy wschodniej i objąć planem nauczania języki i literaturę, historję i archeologję, liturgję i prawo kanoniczne Wschodu, zarówno unickiego, jak i oddzielonego od Kościoła rzymskiego. Wogóle powinno się żądać znajomości nauk Wschodu także dlatego, że niektórzy studenci kształcą się w Instytucie wschodnim w Rzymie, gdzie są zebrane dokumenty wschodnie i gdzie się je wydaje pod tytułem *Orientalia Christiana.*

Uwieńczeniem wiedzy i przyjaźni na Wschodzie jest zjednoczenie na nowo Wschodu z Kościołem Zachodu, odnalezienie się rozdzielonych braci „w tej miłości, której podstawą jest prawda i całkowita zgodność z prawem boskiem“, jak mówi Encyklika. Po ciężkich walkach teologicznych i politycznych przełomach w 1453 roku rozerwaną została łączność między Konstantynopolem a Rzymem, między Wschodem a Kościołem Zachodu. Schizma XV wieku najdotkliwiej zraniła Wschód, jak znowu Reformacja w XVI wieku rozdzieliła Zachód. U proroka Ezechiela znajdują się te słowa Pana:

A ty synu człowieczy, weźmij sobie drewno jedno, a napisz na niem: Judy! i weźmij drewno drugie, a napisz na niem: Józefowi! I złóż jedno do drugiego, w jedno drewno. To mówi Pan Bóg. Oto ja wezmę drewno Józefowe i dam je wespół z drewnem Judy i uczynię je drewnem jednem. I nie będą dalej dwa narody, ani się więcej dzielić będą na dwa królestwa i pasterz jeden będzie ich wszystkich (Ezech. 37, 16—24). Tak samo jak Pan Bóg zniósł polityczne rozdarcie i religijną schizmę w narodzie proroka, tak zniesie On również, gdy wybije godzina Jego łaski, rozdział między Wschodem a Zachodem. Weźmie on drewno z napisem Wschód i przyłączy do innego drewna z napisem Zachód i *pasterz jeden będzie ich wszystkich.*

W Encyklice *Rerum Orientalium* wezwał papież Pius XI uniwersytety, by własnym językiem wskazały Wschodowi jego starochrześcijańską katolicką tradycję, i w ten sposób przygotowały drogę do nowego zjednoczenia. Nauka istniała, gdy Wschód został wstrząśnięty walkami teologicznemi arjanów, nestorjanów, monofizytów i monoteletów, i teraz nauka musi być obecną, by rozdzielonych braci znowu połączyć z sobą. Ojciec św. wskazał tu uczonym święte i chwalebne zadanie do wypełnienia. Ojciec św. zawezwał ludzi nauki do nowej wyprawy krzyżowej. Modlitwa ludu, krew misjonarzy i miecz duchowy w ręce nauki muszą Wschód zdobyć na nowo. „Unja katolicka“ rozpowszechni myśl Ojca św. w najszerszych kołach ludu. Encyklika ma wezwać koła akademickie do dzieła apostolskiego.

Święci Wschodu modlą się wraz z nami o powrót Wschodu do Kościoła zachodniego. Św. Paweł, pierwszy misjonarz Wschodu, apostoł z Patmos, uczeń apostołów Ignacy, który utorował drogę Małej Azji do Rzymu, św. Bazyli, patrjarcha zakonów, św. Atanazy, który przez 25 lat spożywał chleb na wygnaniu, dlatego że nie chciał pozwolić na wykreślenie jednej litery z apostolskiego Credo, św. Katarzyna, patronka filozofji, święta czasów obecnych, słowiańscy apostołowie Cyryl i Metody, wszyscy oni modlą się wraz z Kościołem, który jak matka Tobiasza (Tob. II, 5), bystre oczy wypatruje, czy nie powraca syn z obczyzny, i szeroko otwartemi ramiony oczekuje na powrót Wschodu. Zejdą kiedyś patrjarchowie z Libanu i położą gałązkę cedrową na grobie św. Piotra w Rzymie. Droga ich nie jest tak odległą, jak droga protestantyzmu niemieckiego. Zachowali oni wiele z prastarego kościoła chrześcijańskiego. Stoją przed bramami Rzymu. Przyjdzie czas, gdy zakonnicy z góry Atos będą śpiewać *Tu es Petrus*. Zadzwonią znowu dzwony Świętej Zofji w starem Bizancjum zgodnie z dzwonami katedry św. Piotra. Karmel stanie się znowu ogrodem Bożym, światłem jego stanie się znowu Baranek.

BEATYFIKACJA DON BOSCO. Szereg tegorocznych beatyfikacyj rozpocznie beatyfikacja Don Bosco, dwa cuda wyjednane jego przyczyną zostały już przez Ojca św. zbadane i zaaprobowane. Wielki ten kapłan zrozumiał głęboko potrzebę społeczną współczesnych czasów i rozpoczął olbrzymią pracę dla wychowania młodzieży chrześcijańskiej. Dziś, 40 lat po śmierci założyciela, praca ta rozwinęła się wspaniale. Salezjanie posiadają 40 inspektoratów i prowincyj, przeszło 1.000 domów, tyleż przytem kościołów i oratorjów, kaplic i szpitali, szkół i kolegjów, razem przeszło 16.000 członków zakonu, pracujących w Europie i w misjach. (*D. N. Reich*).

WIARA I NAUKA.

EWOLUCJA SPOŁECZNA A EWOLUCJA RELIGIJNA.

By postępować metodycznie, by kontrolować współczesne teorje, szczególnie teorje E. Durkheima, według którego instytucje i wierzenia religijne mają pochodzenie społeczne i rozwijają się wraz z organizacją społeczeństwa, należałoby przejść całą serję cywilizacyj, według ich powstawania w ciągu wieków, lub w braku pewności co do tego, według porządku ich okazywania się, tak, jak to szkoły historyczne je odbudowały. Jest to na tem miejscu rzeczą niemożliwą. Streszczając się, będziemy się trzymać prowizorycznej klasyfikacji, opierając się na najpewniejszych wynikach etnologji.

Możemy rozróżnić cztery typy społeczeństw:

Jedne bardzo prymitywne, nie mające prawie innych organizacyj, jak organizacje rodzinne, rozszerzone współżyciem kilku generacyj, a także często adoptacją;

drugie bardziej rozwinięte, zorganizowane przynajmniej w szczepy;

inne, w których hierarchja jest bardzo rozwinięta, które charakteryzuje ustrój czyto federalny, czy monarchiczny, we formie królestw czy cesarstw;

wreszcie społeczeństwa zdemokratyzowane, które przeszły od formy monarchistycznej do ustroju demokratycznego.

Podamy charakterystyczne rysy dla tych typów, pod względem ekonomicznym, społecznym, moralnym i religijnym, i spróbujemy następnie wytłumaczyć stosunki łączące te różne właściwości.

Cywilizacje prymitywne.

Do pierwszej grupy należą wszystkie te ludy, które dla pierwotnego charakteru ich kultury materjalnej, dla ich miejsca zamieszkania, jak lasy dziewicze, lub odległe wyspy, dla ich fizycznego typu i właściwości języka, jednem słowem dla czterech kryterjów, mianowicie etnograficznego, geograficznego, antropologicznego i lingwistycznego, uważa się za najprymitywniejsze. Takiemi ludami są naprzykład Negryci w Azji, Negroidzi w Afryce, Ainosi w Japonji, Paleo-amerykanie (t. zn. Eskimosi wschodni z Grenlandji i Labradoru), mieszkańcy ziemi ognistej i t. d.

Wszystkie te ludy żyją ze zbieranych przez siebie owoców, roślin i korzonków, z polowania i rybołostwa.

U wszystkich, z wyjątkiem Czukczów i Italmów, zwykłą formą małżeństwa jest monogamia. Małżonkowie korzystają z tych samych praw. Rodziny są liczne i ściśle zjednoczone. Żyją w mniej lub więcej licznych grupach, któremi kierują naczelnicy, narzuceni przez władzę wyższą lub

centralną, chyba, że są to ludy zdobyte przez jakąś bardziej cywilizowaną rasę.

Wszędzie, z wyjątkiem niektórych Eskimosów, którzy od swych sąsiadów zapożyczyli instytucję matjarchatu, dziedziczenie idzie według pokrewieństwa z ojcem.

Moralność, ogólnie mówiąc jest surowa, zwłaszcza wewnątrz grup. Gościnność i pomoc wzajemna bardzo są szanowane, kradzież, zabójstwo, cudzołóstwo są zakazane i rzadkie.

Magję spotykamy u wszystkich tych ludów, tak samo jak i animizm. Wiara w duchy i jej praktyki jest bardzo rozwinięta, szczególnie u wszystkich ludów północnych.

Co do politeizmu, można powiedzieć, że jest on religją wszystkich tych ludów, jeśli się ten wyraz przyjmie w bardzo szerokiem znaczeniu (jako charakteryzujący wiarę w liczne byty nadprzyrodzone, którym się oddaje cześć). Naodwrót, jeśli się mówi ściślej, można powiedzieć, że nie istnieje nigdzie, gdyż wszyscy uznają najwyższego Boga, w pewien sposób Stwórcę wszechświata, i różnego od natury, czyto od bóstw drugorzędnych, czy od duchów. Pojęcie o Bogu jedynym jest szczególnie jasne u Pygmejów i mieszkańców Ziemi ognistej, u Samojedów, Kaziaków, Ainosów, Eskimosów centralnych, Kalifornijczyków centralnych. U ludów podbiegunowych jest ono bardziej mgliste, ale istnieje w różnych legendach i mitach, i często także w różnych formułkach i ceremonjach, wśród których składa się doroczną ofiarę niedźwiedzia.

Widzimy więc, że ten pobieżny szkic choć jest w nim wiele rysów niezbyt korzystnych, bynajmniej nie ukazuje takiej dzikości, jaką ewolucjoniści przypisują pierwszym wiekom ludzkości.

Czy należy uważać za rzecz dziwną, że znajdujemy u tych ludów pojęcie o stwórcy wszechmocnym, dobroczynnym i moralnym? Zapewne byłoby to rzeczą dziwną, ale tylko wtedy, gdybyśmy mieli odmówić pierwszym stopniom ludzkiej ewolucji posługiwania się normalną przyczynowością. Ale, gdy się im ją przyznaje, widać łatwo, że w tych nieprzejrzanych stepach, dziewiczych lasach, morzach, które budzą w duszy myśliwego to stałe wrażenie „świat i ja“, doszedł człowiek do powzięcia pojęcia o twórcy świata, bardzo potężnego — skoro stwarzał, dobrego — skoro daje ludziom z dnia na dzień potrzebne pożywienie, i sprawiedliwego — skoro jest on oczywiście panem tego co uczynił, a także i dlatego, że ci prymitywi, których świadomość moralna conajmniej tyle samo jest warta co i nasza, nie znają jeszcze sofizmatów i subtelności, które zaciemniają u ludzi cywilizowanych to elementarne wnioskowanie.

Ten byt najwyższy stoi na czele bogów u wszystkich ludów, o których była obecnie mowa. Pojęcie to powzięli zanim jeszcze jakiekolwiek skomplikowane rozróżnienie klasowe było mogło im poddać myśl, by go na to pierwsze miejsce postawić. Tak więc upada w świetle faktów teza ewolucjonistyczna, według której, mianoby hierarchję niebieską odwzorować na hierarchji ziemskiej; gdyż w ten sposób monoteizm, nawet w szerokim sensie hierarchicznego politeizmu, możnaby odnaleźć dopiero bardzo późno, w społeczeństwie o typie monarchistycznego.

Badając ten typ pierwotnej cywilizacji spostrzegamy w nim łatwo niejedną przyczynę, która tłumaczy stagnację ich niekiedy prawie zupełną. Będzie nią więc zamiłowanie życia wprawdzie twardego, ale pociągającego całkowitą swobodą, zręcznością i wysiłkiem, którego potrzeba do polowania i rybołostwa, przyjemnością narażania się na niebezpieczeństwa i zwyciężania ich, jest to jedna z najbardziej podniecających a najmniej kosztownych form radości życia; inną przyczyną będzie znowu skoncentrowanie całej energji na zajęciach, w których, przeciwnie niż naprzykład w przemyśle, nie istnieje postęp; gdyż po zabiciu zwierza i po schwytaniu ryby, wysiłek się zatrzymuje, by zacząć się później na nowo, bez odleglejszego celu; przyczyną stagnacji także będzie dalej równość wszystkich, brak bogatych, umiejących ocenić dobrobyt i opłacić pracę, której ten dobrobyt wymaga, brak „bezczynnych", którzyby się oddawali spekulacji, bo sposób życia wystarcza wymaganiom ciała a elementarne formuły kultu wymaganiom duszy; taką przyczyną będzie ukochanie niezależności, która nie dopuszcza do zdyscyplinowanej współpracy, a która sprawia, że grupy te prymitywne nie są zdolne do stawiania oporu ludom bardziej zorganizowanym, a jedyną ich bronią jest ucieczka i wynajdywanie terenu, w którymby mogli prowadzić dalej swoje życie; świadczy o tem postępowaniu rozmieszczenie tych prymitywnych cywilizacyj po kontynentach.

Trzebaby jednak być bardzo powierzchownym, by nie ujrzeć w tym typie cywilizacji pewnych możliwości zmian, zwłaszcza co do elementów duchowych.

Pewne z tych zmian pochodzą od niejasności kwestyj religijnych i rozwiązań, które im dano. Inne, od różnorodności temperamentów, oraz prób indywidualnych, które się zwracają lub wykorzystują tę a tę skłonność duszy ludzkiej.

Niejasnemi są: pojęcie stworzenia, już tem samem, że nie ma odpowiednika w powszechnem doświadczeniu; pojęcie twórcy rzeczy, bez początku i końca, początek zła, nad którem cierpi ludzkość, życie pozagrobowe. Stąd też wiele pytań, które człowiek prymitywny mógł stawiać, i które faktycznie stawiał, skoro zastanawiał się, co jest stwierdzone, nad pochodzeniem świata, na które to pytanie znamy odpowiedzi, ale na które różne umysły mogły w różny sposób odpowiadać. Niektórzy woleli koncepcje bardziej antropomorficzne, więc wyobrażali sobie naprzykład boga, porządkującego jakiś świat chaotyczny; wyobrażali sobie, że zło pochodzi od genjusza lub boga złego — że bóg najwyższy powinien także mieć żonę i dzieci, a te miałyby być jego współpracownikami, że niezliczeni i inni bogowie, dobrzy czy źli, mają własną swoją sferę wpływów. Tego rodzaju rozwiązanie znajduje się w każdej z grup, które wymienialiśmy. Nie może nikt twierdzić, by rozwiązania te wyprzedzały wiarę w Stwórcę, gdyż niemniej jak i ta wiara opierają się na rozumowaniu opartem na przyczynowości. Od dnia w którym się okazały, musiały o tyle więcej znaleźć uznania, im bardziej się zgadzały z powszechnem doświadczeniem i wyobraźnią.

Na ewolucję tę mogły wpływać pewne wybitniejsze osobistości. Istotnie jest rzeczą nieuniknioną, by myśliwi i rybacy zręczniejsi, jednostki bardziej

bystre, nie zdobyły jakiegoś większego wpływu: marzenia ich znajdują wtedy większą wiarę. Obok nich zresztą spotkać już można w najpierwotniejszych społeczeństwach jednostki zdolne do wprowadzania nowości. Są nimi, u Paleo-australczyków lekarze (*medicine men*), u Paleo-azjatów i Paleo-amerykanów szamani (kapłani czarodzieje). Nie można im odmawiać wszelkiej oryginalności; zręczne przytaczanie dowodów swoich stosunków z umarłymi, duchami, demonami lub bogami jest zasadniczym warunkiem ich znaczenia i powodzenia; nie trzeba też nic więcej, by pobudzić ich twórczość i pomysłowość.

Do tych przyczyn dorzucić należy zwracanie się pobożnych do protektorów, stojących bliżej człowieka, łatwiej dostępnych, mniej dbających o ścisłą sprawiedliwość, — jest to logika praktyczna, która usiłuje rozszerzać dookoła siebie zarówno rozwiązania spekulatywne, jak przepisy praktyczne. W ten sposób muszą się mnożyć bogowie, genjusze lub duchy, gdy tylko się raz jednego przyjęło, i gdy tylko raz wprowadzono zasadę magji, musi się zwiększać stosowanie magji; jest to już tylko kwestją czasu.

W tych warunkach nie można się dziwić, stwierdzając czyto w cywilizacjach, które badamy, czy w tych, które po nich następują z koleji, rozkwit obrządków i mitów, nie dających się łatwo pogodzić z wiarą monoteistyczną, ani też nie można wprowadzać argumentów o usunięciu Stwórcy w celu zaprzeczenia, że jest on rzeczywiście bogiem, lub że należy do archaicznej warstwy tradycyj. Właśnie brak tych mitów i blask niepokalany wiecznego Stwórcy, byłby tu dziwną rzeczą.

Społeczności bardziej rozwinięte. Szczepy.

W społeczeństwach stojących na wyższym stopniu rozwoju, któremi się z koleji zajmiemy, te same kryterja, które nam służyły do rozróżniania najbardziej pierwotnych wśród pierwotnych, prowadzą do rozróżnienia trzech grup ludów, należących sposobem swego życia do różnych kierunków: *myśliwych*, o totemizmie bardzo rozwiniętym, — *nomadów*, zorganizowanych w wielkie rodziny pod władzą agnatów lub krewnych ojca, — i *rolników*, u których stopnie pokrewieństwa są liczone i prawa dziedziczenia uregulowane według pokrewieństwa ze strony matki.

Życie ekonomiczne, właściwe każdej z tych grup, zostało wystarczająco określone w nazwach, które te grupy określały. Widzimy w jaki sposób obejmuje ono całą organizację rodziny. U myśliwych, żyjących z dnia na dzień, każdemu człowiekowi żonatemu wolno się wyosobnić; u nomadów i u ludów rolniczych wstrzymywany on jest wspólną hodowlą trzody i uprawą ziemi. U ludów myśliwskich i nomadów władza dostaje się w ręce mężczyzny, który podejmuje najcięższe zadania i zapewnia utrzymanie; u ludów rolniczych dostaje się ona do rąk kobiety, która pracuje rękoma, troszczy się o potrzeby wszystkich i zapewnia im prawo posiadania ziemi. Ponieważ tak magja jak i religja, w różnej mierze muszą się zajmować interesami materjalnemi, łatwo pojąć, że sposób życia tak różnorodny, pociąga za sobą pewną również różnorodność w obrzędach; ofiary renów, kult wołów właściwe są nomadom, święta związane ze zjawiskami roślinnemi — ludom rolniczym, totemizm zaś — ludom myśliwskim.

Różna organizacja rodziny pociąga za sobą pewną różnorodność w porządku społecznym. Wobec braku ścisłej konieczności, stwierdzić można przynajmniej pewien faktyczny związek, który łatwo da się wyjaśnić. U myśliwych, gdzie rodzina jest mniej silną, organizacja plemienna, rola plemienia jest większą: wymaga jej odosobnienie jednostek, a obrzęd inicjacji, który oznacza wcielenie młodych ludzi do grupy plemiennej, wychodzi na jej dobro; zacieśnia ją jedyna władza rady starszych. U nomadów i ludów rolniczych rodzina wystarcza sobie, tem więcej, że zwiększa ją kilka pokoleń, może ona stać się siłą, z którą trzeba się liczyć; nie zniesie ona innej władzy, jak tylko w czasach wojny.

Oto jeszcze inne konsekwencje w porządku religijnym.

Im więcej na szkodę rodziny wzrasta znaczenie plemienia, jak u myśliwych totemistów, tem bardziej religja staje się kwestją społeczną. Stąd wzrasta jej potęga i znaczenie: jej obrzędy tworzą jedność z innemi zwyczajami grupy; narzucają się one przynajmniej siłą zwyczaju, a nawet obawą; z drugiej strony, ponieważ wychowania religijnego udziela plemię (w ceremonjach inicjacji), a obrzędy religijne wykonuje plemię oficjalnie, może się wydawać, że kult jest rzeczą grupy, bez innej powinności rodzinnej, jak szacunek dla zakazów lub tabu. Dla tych samych powodów, może on stać się czemś bardziej zewnętrznem lub formalistycznem, może podstawiać pod cele indywidualne (jak moralność osobista lub zbawienie), cele plemienia (dobrobyt, wielkość plemienia), wreszcie może się łatwiej zmieniać, ponieważ inicjatywa zmian należy z prawa do grupy ograniczonej starszych, faktycznie do tych (lub do tego) wśród nich, którzy zdobyli większy wpływ: czarownicy lub zręczni lekarze umieją specjalnie zyskiwać tu powodzenie.

Wielkie rodziny nomadów i rolników wykazują większą zdolność do zaprowadzania domowej praktyki kultu i do utrzymania ciągłości tradycji. U nich religja, związana z ogniskiem domowem, nabiera wewnętrzniejszego charakteru; a ponieważ każde ognisko jest niezależne, mogą tu zachodzić najróżniejsze odcienie — według upodobań danej rodziny dla tych właśnie przymiotów boskości, dla tych a tych szczególnych opiekunów, dla takich obrzędów, stosownie do jej przywiązania do przeszłości, jej stosunków z obcymi, lub jej wyosobnienia. Czyż dla tych właśnie przyczyn nie jest rzeczą tak trudną odtworzenie wspólnego dziedzictwa ludów, których pokrewieństwo nie ulega żadnej wątpliwości?

C. d. n. *Le Correspondant.*

Za pozwoleniem Władzy Diecezjalnej.

Red. odp. i Wyd.: Zofja Włodkowa, Kraków. Pędzichów-boczna 5.